OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 20 Marca / 1 Kwietnia 1868 roku.

Nr 13. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. I. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok IV.



Dawid Livingston.

DAWID LIVINGSTON.

Nazwisko Livingstone'a mało komu jest znane, a jednak godne ono stać obok wielu innych rozgłośnej sławy używających ludzi, jako człowieka, który własną pracą zdobył sobie naukę i stanowisko, dozwalające mu poświęcić siebie dla dobra cywilizacji rodu ludzkiego. Mąż ten zasługuje na to—raz, jako opowiadacz nauki Chrystusowej, a powtóre—jako uczony podróżnik po dzikich krajach

południowej Afryki, w których zaszczepiając prawdę Ewangieliczną, obznajmiał zarazem świat cały z narodami, żyjącymi tam w stanie pierwotnej prawie dzikości i dotąd mało co znanymi.

Livingstone wprawdzie nie jest pierwszym takim podróżnikiem w tej części naszego świata; uprzedził go tam w ostatnich czasach Robert Moffat jego teść, który nauczywszy się języka beczuańskiego, stworzył dla niego pismo, ułożył jego gramatykę i przetłumaczył na ten język Pismo Swięte Nowego Zakonu a następnie Starego, które wydrukowane zostało w Londynie pierwsze 1840 r. w pięciu tysiącach egzemplarzy, a 1841 r. całkowite w ośmiu tysiącach egzemplarzy. Livingstone zatem tym sposobem o wiele miał sobie już ułatwioną drogę w swych pracach apostolskich i naukowych. Nic to atoli nie zmniejsza jego zasług; bo w pracach mających na celu cywilizację czyli duchowne i materyjalne dobro mniejszej lub większej społeczności ludzkiej, koniecznym warunkiem jest stopniowe i kolejne działanie jednych po drugich i to bez przerwy, jeżeli cel ten ma być osiągnięty.

Posiadając tedy owe środki, jął się on gorliwie i z większym skutkiem od swego poprzednika tej pracy, która posuwa ród ludzki na drodze doskonalenia się, celem dojścia do tego stanu, w jakim godni będziemy do przyjęcia obiecanego nam owego królestwa Bożego, o którego przyjście codziennie się modlimy.

Opis tych jego prac i trudów, wielce jest ciekawy i zaiste nie mniej bogaty w pożytek duchowy i naukowy: widzimy z nich postęp oświaty i moralności u mieszkańców południowo-afrykańskich, oraz wzbogacenie nauk przyrodniczych i jeograficznych.

Dawid Livingstone urodził się 1815 r. podług jednych we wsi *Blantyre Works*, położonej w pobliżu miasta Glasgowa w królestwie Szkockiem, a podług drugich na jednej maleńkiej wysepce zwanej *Uhrą* a należącej do archipelagu Hebrydskiego stanowiącego część owego królestwa, wchodzącego w skład królestwa Wielkiej Brytanji. Ojciec jego był ubogim wieśniakiem czyli rolnikiem.

Livingstone będąc jeszcze chłopcem miał już to przekonanie, że Pan Bóg na to dał człowiekowi wolę i rozum, aby ich używał na swój i bliźnich pożytek, oraz że przy nauce i pracy, każdy sobie nietylko może ale i powinien zdobyć byt dostatni i niezależne stanowisko.

Od dziesiątego tedy roku swego życia, zarobkując na swoje utrzymanie w przędzalni bawełnianej, pracował jak najusilniej na chleb powszedni całemi dniami, aby zasłużyć sobie na względy swych przełożonych i zarobić jak można najwięcej; wieczorem zaś chodził do szkoły, a gdy tę ukończył, całemi nocami uczył się tego wszystkiego, co uważał za potrzebne do wzniesienia się nad pospolitych ludzi. Pragnienie to nauki nie ograniczało się na tem tylko: oddawał się jej bowiem nawet w czasie pracy kładąc książkę na krośnach i nie opóźniając się w robocie, chwytał szybko całe zdania i powtarzał je sobie na pamięć.

Ciekawe są szczegóły pracowitego żywota tego młodzieńca, walczącego ciągle z niedostatkiem, powodowanym małym zarobkiem i drożyzną żywności. Niepodobna czytać bez wzruszenia opisu jak on się biedzi z niedostatkiem i jak pokonywa liczne przeszkody, mając tylko za przewodnika— miłość bliźniego, pracę, odwagę i wytrwałość w powziętym zamiarze. To też usiłowania jego Bóg błogosławił: w naukach do tyla postąpił, że ukończył Wydział Lekarski Uniwersytetu Glasgowskiego, a następnie Teologiczny w Londynie, gdzie otrzymał godność uniwersytecką Doktora Teologji. Miał on już wtedy zamiar zostać missjonarzem w Chinach i dla tego uczył się medycyny, aby zarazem mógł być i lekarzem ciała; ale zamiarowi temu stanęła na przeszkodzie wszczęta w owym czasie wojna między rządem angielskim a chińskim. Udał się więc w tym charakterze 1840 r. do południowej Afryki gdzie przebył blisko lat szesnaście, przenosząc się od czasu do czasu z jednej miejscowości do drugiej. Z tego czasu podróże swoje i przygody życia, opisał sam w obszernej książce wyszłej w języku angielskim pod tytułem „*Prace i badania missjonarza w Afryce południowej*,” którą wydał był w czasie swego pobytu w Anglji w r. 1857 i 1858.

Za dzieło to otrzymał dwa medale złote: od Towarzystwa jeograficznego londyńskiego i drugi takiegoż paryzkiego.

Livingstone wkrótce po przybyciu do miasta Kapu (na przylądku Dobrej Nadziei), udał się w głąb tak zwanej przez jeografów ziemi Kafryjskiej. W *Kurumanie* i innych miejscowościach, żył lat dwa i tu nauczył się języka bekweńskiego pokrewnego beczuańskiemu. W r. 1843 osiedlił się w *Mabocy*, gdzie pracował jako missjonarz. W Czerwcu 1849 r. udał się w podróż naukową z dwoma uczonymi anglikami aż do jeziora *Ngami*, leżącego w pustyni zwanej *Bekalihari*, gdzie do jego czasu żaden jeszcze europejczyk nie doszedł. W Październiku powrócił do *Kolobengu*, a następnego roku udał się powtórnie do rzeczonego jeziora celem zwiedzenia północnej jego strony, ale coraz bardziej wzmagająca się febra, której uległ w tym niezdrowym klimacie a nadto jakieś zjadliwe i jadowite muchy, zmusiły go zaniechać téj podróży. W roku 1851 udał się znowu na północ aż do rzeki *Zambesy*; w roku zaś 1852 odprowadziwszy swoją małżonkę i dzieci do *Kap-Townu* powrócił do *Kurumanu*, zkąd w r. 1853 udał się do *Linyanty* stolicy *Makokolów*, których król przyjął go uprzejmie. Ztąd udał się do miasta *Loandu* stolicy kraju Angola, gdzie radośnie powitany został przez tamtejszych Portugalczyków 1854 r., a w r. 1856 przybył na pobrzeże wschodniej Afryki do miasta *Kilimanu*. Całą tę podróż odbył on w ciągu czterech lat, a przebył tym sposobem całą południową Afrykę od morza do morza czyli przestrzeń 1200 przeszło mil jeograf. Z powyższego miasta udał się do Anglji, gdzie przybył 12 Grudnia 1856 r. ale jakież było jego zdziwienie, gdy ze swymi ziomkami z trudnością tylko mógł się rozmówić, a raczej oni go zrozumieć nie mogli dokładnie; pobyt bowiem jego kilkoletni między ludami, mającymi tak różną i niczem nie podobną mowę do języka angielskiego, stała się przyczyną, że Livingstone chociaż znał dobrze język ojczysty, skaził jednak jego wymawianie i utracił zdolność szybkiego nim władania ustnie a nawet piśmiennie, jak się sam wyraża w przedmowie do *Opisu swoich podróży*, mówiąc:

— „Wolałbym ponownie przebyć wszerz i wzdłuż całą Afrykę, niż raz jeszcze napisać taką książkę. Nierównie łatwiej podróżować, aniżeli opisywać po-

dróże," a dalej tak się usprawiedliwia z tego zaniedbania się w języku ojczystym:

— „Za przybyciem mojem do Afryki, miałem zamiar pracować i doskonalić się w naukach, ale warunki tamtejszego życia nie sprzyjały moim zamiarom. Oprócz opowiadania nauki Chrystusowej, nauczania i leczenia, musiałem zajmować się własnoręcznie budowaniem mieszkania i wyrabianiem wszelkich sprzętów, oraz pracować i kłopotać się o codzienne potrzeby życia."

W r. 1859 (w Marcu) Livingstone odpłynął napowrót do Afryki do miasta *Kilimanu*, gdzie otrzymał posadę Konsula. W tym charakterze udał sie wkrótce po swem tam przybyciu rzeką *Zambesą* z kilkoma innymi podróżnikami w dalszą podróż, celem zbadania miejscowości, w któréj mogłaby być uprawianą bawełna, oraz w celu niweczenia handlu niewolnikami. W Grudniu 1861 r. stanął w *Dolnym Szyrze* gdzie mieszkała jego rodzina, a małżonka zmarła 1862 r. Ostatnie wiadomości jakie od niego otrzymano w Londynie, pochodzą z Lutego 1864 r. i dowodzą, że w owym czasie przebywał w Mozambiku i że badał kraje położone około jeziora *Nyassy*.

W r. 1864 wyszedł jego opis podróży nad rzeką Zambezą, odznaczającą się wodospadem dwa razy wyższym od rozsławionego wodospadu Niagarskiego w Ameryce północnej.

Od tego czasu niema o nim żadnych pewnych wiadomości. Raz one bowiem głoszą, że został gdzieś tam zabity czy inną jakąś śmiercią zginął,—to znów że żyje i że z powodzeniem pracuje nad cywilizacją południowo-afrykańskich ludów. Ile w tem wszystkiem jest prawdy, nie rozstrzyga nawet urzędowy raport, złożony z wyprawy wyznaczonej w r. z. do odszukania Livingstone'a, a która niedawno temu powróciła do Anglji; raport ten bowiem streszcza się do tej wiadomości, że doszedłszy do miejsca gdzie Livingstone miał być zabity, dowiedziano się od miejscowych mieszkańców, że nikt go tam nie zabił i że go odprowadzono w dalszą drogę wraz z jego pakunkami. Nie wiadomo zatem: czy tam dalej nieco nie został zabity.

Ażeby sobie można wyobrazić ile to trudów i niebezpieczeństw doznaje podróżnik w owych krajach, nie od rzeczy będzie tu przytoczyć kilka ustępów z opisu podróży Livingstone'a, tem więcej, że one obejmują wiele szczegółów dotąd nieznanych nawet jeografom.

Strefa północno-wschodnia Afryki ciągnąca się ku oceanowi Indyjskiemu, jest górzystą i obfitą w wiecznie zielone drzewa. Liczne strumienie i rzeki zwilżają ziemię, a coroczne deszcze sprzyjają roślinności. Strefę tę zamieszkują dzielni Kafrowie, będący postrachem sąsiednich plemion. Lud to wysoki, muskularny i silnie zbudowany; płeć jego jest czarna, a włosy wełniste. Kafrowie są odważni i waleczni, i słusznie zasługują na przydomek *pysznych dzikich*, jakim ich obdarzają władze wojskowe angielskie, za to że się im czasem dają dobrze we znaki.

Strefa środkowa jest zaledwie pagórkowatą; strumieni mało, a i z tych wiele wysycha. Częsty niedostatek deszczu jest plagą tej ziemi. Co lat kilka bywa tu stale straszna posucha, która niszczy wszelką roślinność. Mieszkańcy tutejsi nazywają się *Beczuanowie*, będący tego samego plemienia co i Kafrowie, a jednak różnią się od nich pewną bojaźliwością i niedołęztwem, a nawet budową ciała o wiele słabszą i niedołężną — co jest dowodem jednym więcej, że lichy pokarm i inne wady społeczne, sprowadzają skażenie rodu ludzkiego pod względem cielesnym i duchowym.

Trzecia strefa rozciągająca sie po stronie oceanu Atlantyckiego, stanowi zupełną płaszczyznę na samym tylko pobrzeżu nieco wzgórkowatą. Godna ona jest podziwu z powodu zupełnego niedostatku wody, a mimo to bujnej roślinności.

Taki jest ogólny obraz Afryki południowej.

Stacją północną Towarzystwa Missyjnego londyńskiego, w którego służbie pozostaje Livingstone jest *Kuruman*, położony w środkowej strefie w kraju zamieszkałym przez Beczuanów. Naród ten nie ma jeszcze społecznej organizacji i żyje jak prawie wszystkie inne w tej części Afryki w rozdrobnieniu na mnóstwo małych pokoleń, bez żadnej spójni z sobą będących i ciągle niszczących się wzajemnemi najazdami i mordami.

Przeróżne pokolenia Beczuańskie, biorą swoje nazwiska od różnych zwierząt. I tak: jedno wziąwszy swe nazwisko od małpy, nazywa się *Bakatla;* drugie od olbrzymiej jaszczurki czyli *aligatora*, nazywa się *Bakuena*; trzecie od ryby, *Batlaapi* i t. d. Nie byłoby w tem nic tak dziwnego jeżeli weźmiemy na uwagę, że i ludy europejskie przed wiekami już wybierały sobie za godło czyli herb rozmaite zwierzęta i ptaki, gdyby nie to, że Beczuanowie okazują dotąd pewną grozę i strach na samo wspomnienie zwierzęcia którego noszą nazwę, a nawet nie jadają jego mięsa i zabicie takowego uważają za świętokradztwo. Możnaby tu wnosić z tego, że kiedyś musieli oni oddawać cześć wybranym przez siebie zwierzętom na podobieństwo starożytnych Egipcjan, którzy czcili białego wołu i ptaka *ibisa*. Za tem domniemaniem, przemawia także i sposób ich wyrażania się; Beczuanin bowiem, jeżeli się chce dowiedzieć od drugiego do jakiego należy plemienia, używa słowa *tańczyć* zamiast *należeć*, lub jakiego innego odpowiedniego. I tak np. na pytanie: „Co tańczysz?" — zapytany odpowiada: „Na cześć małpy" — lub podobnie, co znaczy że jest *Bakatlem* i t. d.

Między wieloma nowemi i ciekawemi wiadomościami, jakie znajdują się w pismach Livingstone'a jest i to, że murzyn jest gościnny, serdeczny, łatwo ufający, i że tam tylko gdzie Europejczycy dotarli i starają się wyzyskiwać go dla swego zysku, stracił pierwotne cechy swego charakteru. Nieprawdą więc jest to wszystko co mówią, że murzyni są rasą upośledzoną niezdatną do przyjęcia wyższej cywilizacji. Nie są nawet w wielu okolicach tak szpetni, jak to przywykliśmy ich wyobrażać sobie.

Livingstone zwykle podróżował piechotą, a niekiedy nawet sam jeden. Dziwili się tam nieraz krajowcy i szydzili sobie z niego nieraz mawiając: „To jakiś cherlak, chudzina aż strach, a tylko wydaje się tak grubym dla tego, że nogi swoje oblekł w jakieś dziurawe worki; nie podoła on pieszej wędrówce i wkrótce się zamęczy."

Pomimo takiego sposobu podróżowania, Livingstone nie doznał żadnego niebezpieczeństwa. Raz tylko zdarzył mu się wypadek zagrażający śmiercią, ale to było w czasie pobytu w mieście Mabocy, którego mieszkańcy niepokojeni byli częstemi napadami lwów na ich bydło. Mabocowie przy-

pisywali to czarom, rzuconym na nich przez sąsiednie pokolenie. Livingstone chcąc ich wywiezć z tego przesądu, a wiedząc że jeżeli choć jeden tylko lew z całej gromady ubity zostanie, pozostałe opuszczają natychmist całą zajmowaną okolicę, postanowił tedy urządzić obławę i ubić jednego; nie łatwo mu atoli przyszło skłonić do tego potrzebną liczbę ludzi.— Odkrywszy legowisko całej lwiej gromady wjednem wzgórzystem zaroślu, zajętej pożeraniem jakiejś zdobyczy, otoczył takowe łańcuchem ludzi uzbrojonych w dzidy i kazał im postępować zwolna i cichaczem ku środkowi; sam zaś z jednym strzelcem zajął odpowiednie stanowisko. Postępując tak, Livingstone wkrótce dostrzegł na odłamku skały wspaniale spoczywającego lwa. Towarzysz jego nie czekając na niego strzelił i chybił; lew zerwał się i rzucił ku miejscu gdzie kula uderzyła, a następnie umknął przez łańcuch obławy. Strwożeni Bakatlowie zaczęli umykać, a gdy się pokazał drugi lew, na dobre pierzchnęli ku miastu. Widząc bezowocność swoich usiłowań i Livingstone postanowił pójść do domuzresztą ludzi zebranych kołoniego, gdy wtem na skręcie drogi spostrzegł lwa, rozciągagającego się na skale, odległej na jakie trzydzieści kroków od siebie. Wziął na cel i wystrzelił z obu luf. Radośne „trafiony! zabity!" rozległo się ze wszystkich ust, Livingstone jednak dostrzegł, że lew się poruszył; powstrzymał tedy towarzyszy i wziął się do nabicia strzelby. Wtem naraz rozległ się okrzyk trwogi i Livingstone powalony został na ziemię, a nad uchem jego zagrzmiał wściekły ryk. Nagły upadek pozbawił go przytomności, a wstrząśnienie moralne zniszczyło uczucie bojaźni: jakiś czas patrzał na swego wroga jakoś spokojnie, odrętwiale czyli w takim stanie, wjakim się zapewne znajdują zwierzęta schwytane przez inne na pożarcie. Lew gniotąc głowę Livingstone'a jedną łapą a drugą piersi, groźnie spoglądał w bok na stojącego opodal strzelca, który przygotowywał się do strzału; ale jego strzelba była stara i skałka niedopisała. Trzask jednak kurka spowodował, że lew puścił Livingstone'a, a rzucił się na strzelca i zgruchotał mu nogę. Ugodzony zaś dzidą przez jednego jakoś nadspodziewanie śmiałego krajowca, opuścił swą ofiarę i rzucił się na nowego swego napastnika; lecz w tej chwili snadź osłabiony upływem juchy, zachwiał się i zdechł. Na tem pobojowisku legli więc: lew, Livingstone ze złamaną ręką w ramieniu i z jedenastą ranami, oraz towarzysz jego, który go ocalił od nieochybnej śmierci. Krajowcy uradowani zwycięztwem, zapalili ognie w około zabitego lwa, aby wypędzić z niego urojone czary.

Livingstone wygoił się z ran w krótkim czasie, dzięki wełnianemu kaftanowi, który ochronił jego rany od zatrucia jadowitą lwią śliną, która o wiele przedłuża i utrudnia wyleczenie, a następnie długo jeszcze sprawia perjodyczne boleści w miejscu blizny. Nieumiejętne atoli i krzywe wstawienie ramienia, spowodowało skrócenie ręki.

Obszerniejsza wiadomość o tym podróżniku i missjonarzu oraz o krajach i narodach przez niego zwiedzanych, znajduje się w piśmie czasowem wychodzącem w Warszawie pod tytułem *Wędrowiec* z roku zeszłego i bieżącego.

Ad. N. Nakęski.

GNIAZDO JASKÓŁCZE.

Mąż jeden święty, zdala od świata,
Długie na puszczy przepędził lata,
Szarańczą tylko i leśnym miodem
Karmiąc się,— ciało swe dręczył głodem...
Lecz wznosił ducha ciągłemi modły,
I natchnieniami, które go wiodły
Z ziemi wygnania—do Niebios proga,
W przybytek Świętych Pańskich i Boga.

Raz--gdy wpatrzony w Niebios sklepienie,
Wpośród modlitwy wpadł w zachwycenie,
I klęcząc—jakby w krzyżowej męce,
Trzymał wzniesione do góry ręce....
Jaskółka w długiej lecąc pogoni,
Siadła strudzona na jego dłoni
I pleść gniazdeczko poczęła sobie....
Święty, po długiej zachwytu dobie,
Wracając duchem do tego świata,
Ujrzał ptaszynę co nad nim lata,
I na swej dłoni gniazdka początek,
Które dla swoich wiła pisklątek—
I nie chciał, nie śmiał poruszyć ręki,
Żeby ptaszynie nie sprawić męki,
I nieruchomy pozostał święty,
Aż wyleciała z swemi pisklęty.

Przez ten czas cały nie czuł strudzenia,
Nie uczuł głodu ani pragnienia,
Bo go ożywiał pan z wysokości,
Za poświęcenie, w imię *Litości*
Dla stworzeń Jego—chociaż bez duszy!

Kogoż ten wielki obraz niewzruszy?
I kto nie pojmie—ileśmy winni
Być litościwi i dobroczynni
Dla braci bliźnich;—a z wysokości
Bóg doda mocy, czynom litości!

Jan Prusinowski.

CZARODZIEJSKA DOLINA.

Podług wiarogodnych źródeł.

(*Ciąg dalszy*,—patrz Numer 12).

W tym stanie odrętwienia kilkanaście godzin przebyłem, gdym się obudził słońce rzucało prostopadle promienie, a z obozowiska dochodziły dzikie głosy indjan. Po niejakiemś czasie rozległ się straszny huk, w którym poznałem eksplozją bomby. Poczem obiły się o me uszy dzikie okrzyki oraz tentent koni—wreszcie wszystko ucichło. Potem dopiero dowiedziałem się, co zniewoliło indjan do tak nagłej ucieczki: wrzucili bombę nabitą do ogniska, a eksplozja jej nabawiła ich takiego strachu, że biorąc to zapewnie za wyraz gniewu Wielkiego Ducha, spiesznie opuścili obóz. Przez kilka godzin nic nie słyszałem, wieczorem wszakże zdawało się mi, że słyszę głosy ludzkie i obawiałem się na serjo, aby indjanie napowrót nie wrócili.

Noc którą potem przebyłem, uważam za najokropniejszą w życiu. Nazajutrz rano, pokrzepiwszy wyczerpane siły pewnego gatunku owocem, chciałem się dowledz do obozu, ale sił mi jeszcze do tego zabrakło. Dopiero na czwarty dzień, pełznąc na czworakach i wlokąc za sobą zranioną nogę, zmierzałem ku obozowi, ale w połowie drogi zatrzymał mnie pewien przedmiot, na widok którego śmiertelne dreszcze mię ogarnęły—był to szkielet, w którym poznałem...

Tu łkanie przerwało jego opowiadanie, a łzy zro-

siły powieki wszystkich obecnych. Po niejakimś czasie mówił dalej:

— Widziałem, że była pochowaną i to mnie zdziwiło, bo indjanie tegoby nie zrobili. Potem dopiero domyśliłem się, żeście po ucieczce indjan byli w obozie i dokonali tego chrześcijańskiego uczynku. Ale wilki wykopały drogie dla mnie zwłoki, pozostawiwszy z nich tylko nagi szkielet. Lecz córki nigdzie ani śladu znaleść nie mogłem; przeszukałem cały obóz—napróżno. Ani wątpiłem, że ją indjanie uwieźli.

Zabawiwszy jeszcze w mojem schronieniu tyle czasu, ile było potrzeba na zupełne odzyskanie sił, opuściłem to okropne miejsce dzięki jednemu mułowi, który jakimś cudem uniknął rzezi i dał się mi złapać. W tydzień po wyjeździe z obozu dobiłem się do Santa-Fé, a z tamtąd już bez żadnych przygód, dostałem się do swoich kopalni.

Dalsze moje dzieje nie przedstawiają żadnego interesu: są to dzieje człowieka opłakującego tych wszystkich co kochał; aleś pan wracając mi moją Helenkę, przywołał mię do życia, i z niecierpliwością pragnę dowiedzieć się o dalszych pańskich przygodach, w których i ona brała udział.

Pan B. nie dał się długo prosić i w te słowa zaczął opowiadanie:

— Pozostawiwszy Pawła przy zwłokach, wziąłem na ręce biedną Helenkę, która za nic nie chciała z matką się rozstać i zaniosłem ją do żony. Pieszczoty tej ostatniej zdołały wreszcie uspokoić dziecinę, która na jej łonie usnęła. Ja tymczasem, wziąwszy potrzebne narzędzia, wróciłem do obozu, by zmarłej ostatnią oddać posługę.

Następnie, ukrywszy swój wóz wraz z całą znajdującą się w nim rodziną w krzakach, wziąłem karabin i poszedłem na zwiady, pragnąc dowiedzieć się, w którą stronę indjanie się oddalili. Ślady kopyt końskich przekonały mię, że się skierowali ku zachodowi, co mię skłoniło do puszczenia się na południe, ile że w tej właśnie stronie leżeć musiało Santa-Fé.

Jakkolwiek noc już była, gdym wrócił z tym zamiarem do swoich i wszyscy potrzebowaliśmy spoczynku, za nic przecie nie mogliśmy się pogodzić z myślą nocowania w pobliżu widowni scen tak okropnych. Postanowiliśmy tejże samej nocy zrobić jeszcze kilka mil, byle tylko jak najśpieszniej opuścić te pełne zgrozy miejsca. To też, nabrawszy we wszystkie jakie tylko mieliśmy naczynia wody, co jest niezbędną ostrożnością dla podróżujących w pustyni, puściliśmy się w dalszą podróż ku południowi.

Po całonocnej uciążliwej podróży wśród bezpłodnej pustyni, gdy woły nasze zupełnie z sił upadły, zatrzymaliśmy się wreszcie na popas około południa. Ale nie wielką ztąd zwierzęta nasze korzyść odniosły: bo ani wody, ani trawy daćim nie mogliśmy; a szałwji i bylicy jedynych roślin, które się tu znajdowały, żadne z nich tknąć nawet nie chciało. Biednym zwierzętom okropnie dokuczało nie tylko pragnienie ale i słońce, które nieznośnie przez cały dzień piekło; a nie mogliśmy im dać wody, gdyż i pragnienie nam samym dokuczało i zapasy jej się zmniejszały, a nie wiedzieliśmy jak prędko strumień lub rzekę napotkamy. Daliśmy trochę tylko naszym psom Kastorowi i Polluxowi, które jak to powiedziałem, znaleźliśmy przy zwłokach dawnej ich właścicielki, Pani M. Knight.

Dobrze przed wieczorem, wyruszyliśmy w drogę w nadziei, że spotkamy wreszcie jakie źródło wody, ale i słońce zaszło i nic nie zdawało się wskazywać, abyśmy prędko na nie natrafili. Dokoła nas rozciągała się niezmierna jałowa pustynia, której krańce zlewały się z widnokręgiem: żadnej trawki, żadnego śladu życia. Byliśmy tu sami jedni, jak łódź rzucona na bezmierny przestwór oceanu.

Co począć w takiem położeniu? wrócić na powrót? Ale to niepodobieństwo—bo czyliż byśmy zdołali przebyć taką przestrzeń bez kropli wody! Tymczasem kto wie—może idąc dalej, prędzej czy później na nią natrafimy. Tak więc całąśmy noc jechali. Gdy dzień zaświtał, zacząłem pilnie badać widnokrąg. Smutnie jechałem obok wołów pogrążony w tęsknych myślach, gdy głos Witolda wyrwał mnie z tej zadumy.

— Ojcze, ojcze! czy widzisz ten piękny biały obłok?

Spojrzałem w stronę gdzie wskazywał, t. j. ku południowo-wschodowi i wydałem okrzyk radości: to co syn mój brał za obłok, był to szczyt śniegiem pokrytej góry, a z doświadczenia wiedziałem, że gdzie śnieg tam musi być woda, gdzie woda tam roślinność, to też kazałem Pawłowi co żywo w tę stronę popędzać woły. Oddalało to nas wprawdzie z drogi którąśmy raz sobie obrali, ale ta zmiana kierunku zdawała się mi kwestją życia lub śmierci. Nie wahałem się ani chwili.

Góra była jeszcze od nas oddaloną na jakie trzy lub cztery mile i pewniebyśmy ją pierwej ujrzeli, gdyby nie to żeśmy w nocy podróżowali. Wielka atoli wątpliwość zachodziła, czy woły nasze będą mogły dojść—były bowiem zupełnie zmęczone i ledwie się wlokły; a jeżeli padną gdzie w drodze, to zdołamyż my sami dostać się do tej nieszczęsnej góry? Wody nie mieliśmy już ani kropli, a w miarę wznoszenia się słońca, pragnienie nasze stawało się nie do wytrzymania.

Około południa woły nasze zdawały się niezdatne do dalszej podróży; jeden z nich padł bez życia—musieliśmy go porzucić; trzy pozostałe nie mogły już prawie iść dalej. Wyrzuciliśmy z wozu chcąc im ulżyć, rozmaite mniej potrzebne rzeczy, ale nie na wiele się to przydało; posuwaliśmy się jak żółwie.

Chwilowe wytchnięcie możeby wzmogło ich siły, ale mógłżem się zatrzymywać słysząc żałosne narzekanie dziewczynek (bo chłopcy nieźle się jeszcze trzymali)? Nie śmiałem ich nawet pocieszyć, wiedząc, że parę mil długich mamy jeszcze do przebycia. Przyszło mi na myśl poskoczyć naprzód i przynieść dla nich choć trochę wody, ale dość było spojrzeć na mego konia, aby się przekonać, że nie wytrzyma takiej podróży; musiałem nawet zsiąść z niego i prowadzić go za cugle. Paweł także szedł przy wołach; wtem i drugie z tych ostatnich zwierząt padło, tak że tylko para nam pozostała.

W chwili gdy najczarniejsza rozpacz poczęła nas ogarniać, ujrzałem tu i owdzie na płaszczyźnie porozrzucane jakieś ciemno-zielone rozmaitej wielkości przedmioty. Wydałem okrzyk radości, porwałem nóż i pobiegłem w stronę, gdzie się znajdowały. Były to kaktusy, których świeży i chłodnawy sok, pokrzepił nas trochę; jedliśmy je z chciwością nie tylko sami, ale i zwierzęta nasze nie wyłączając psów. Nie ugasiły wprawdzie te rośliny zupełnie naszego pragnienia, ale dozwoliły nam przynajmniej z większą energją dalszą odbywać

podróż. Postanowiliśmy dać wytchnąć trochę wołom, ale spoczynek ten wypadł nieszczęściem dla jednego z nich za późno—padłszy bowiem na ziemię, w żaden sposób powstać nie mógł. Musieliśmy więc go pozostawić, a doprzęgłszy do tego co pozostał konia, ruszyliśmy dalej.

Jeszcze mila oddzielała nas od podnóża góry, gdy i drugi wół padł, jak się zdawało bez życia. Nie było więc sposobu ciągnąć dalej wozu, ale też i czasu do rozmyślań nie starczyło;— trzeba było iść piechotą lub umrzeć.

Wyprzągłem konia i puściłem go swobodnie. Dałem Pawłowi siekierę w jedną rękę a w drugą Helenkę, sam wziąłem kociołek i jedyny kawał wędzonego mięsa, oraz córkę; żona i synowie także coś nieśli— i puściliśmy się w drogę. Psy biegły za nami, a koń także o kilkanaście kroków z tyłu, wiedziony instynktem postępował.

W godzinę która się zdała nam wiecznością, stanęliśmy nareszcie nad brzegiem tak pożądanego strumienia. Nie potrzebuję tego dowodzić, że żaden nektar tak mi nie smakował, jak ta czysta woda!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NA GORĄCYM UCZYNKU

Kartka z kroniki kryminalnej.

(Ciąg dalszy.— Patrz N. 12).

Nieznajomy, czy to że był herkulicznej siły, czy też oburzenie lub obawa mu jej dodały, szarpnął się tak mocno, że jednego i drugiego odepchnął na kilka kroków.

— Rozumiem was łotry!—zawołał—zamordowaliście tego człowieka, a teraz zaczailiście się tutaj na pierwszego przechodnia, który się przybliży do trupa, żeby wspólnem świadectwem zrobić zeń zabójcę.

Szybkim ruchem ręki wydobył z kieszeni ten sam nóż, który służył do popełnienia morderstwa i wznosząc go w górę zawołał:

— Śmierć pierwszemu, który do mnie przystąpi!

Poczciwi amatorowie kufelkowego piwa, nie myśleli go napastować i postanowili trzymać się w przyzwoitej odległości—nieznajomy jednakże nim zdołał się opamiętać i poruszyć, został silnie za kark schwyconym z tyłu.

W tej samej prawie chwili pochwycono go za rękę, w której nóż trzymał i rozbrojono natychmiast.

Spostrzegłszy, że tym razem nacierający nań byli żołnierzami z przechodzącego patrolu, nieznajomy nie myślał się bronić i szarpać, rzekł tylko wskazując na pana Antoniego i pana Sotera:

— Tamtych także trzymajcie... bo oni zbójcy!...

— Niepotrzeba— odrzekł pan Soter,— my sami pójdziemy.

Wkrótce odgłos piszczałki dowodzącego patrolem, sprowadził na Topiel większą siłę. Zabezpieczono na miejscu ciało zabitego, a trzech ujętych odprowadzono do policji.

II

Wiadomość o nadzwyczajnym wypadku, o zaszłej ciężkiej zbrodni i przyprowadzenie do cyrkułu trzech ludzi ujętych prawie na gorącym uczynku i oskarżających się o nią wzajemnie—ludzi, których ubiór ani postawa nie wskazywały bynajmniej, żeby należeć mogli do klassy nocnych napastników i złodziei, musiało naturalnie w nocy stać się powodem niemałego w biórze zamętu.

Deżurny, młody człowiek czuł, że w obec tak ważnych okoliczności sam nie może działać ani wydawać rozporządzeń, zbudzono więc natychmiast komisarza i ten po kilku chwilach ukazał się w kancelarji, ażeby zarządzić jak tymczasem postąpić należy.

Tych co dopełnili aresztowania nie było w cyrkule; stosownie do swego obowiązku poszli oni z patrolem dalej, zdawszy odprowadzenie aresztowanych innym, których droga w stronę cyrkułu wypadała. Na dokładne więc zeznanie z ich strony czekać musiano aż do następnego dnia i należało poprzestać na ogólnej wiadomości, że wszyscy trzej ujęci zostali na miejscu zabójstwa, że jeden z nich w chwili ujęcia trzymał w ręku nóż, który mu odebrano i załączono i że jedni na drugich zwalali winę morderstwa.

Kazawszy ujętych mieć na oku, żeby się z sobą komunikować nie mogli, komisarz wezwał pierwszego pana Sotera, aby objaśnił kto jest i w ogólnych słowach złożył zeznanie o wypadku...

Pan Kukuli zadeklarował swoje imię i nazwisko, oraz inne szczegóły potrzebne *ad generaliam*, co zaś do samego wypadku oświadczył: że idąc naprzeciw pana Fiksza, który miał właśnie do domu powracać przez Topiel, zeszedł się z nim i potrącił na samem miejscu gdzie leżał zabity; że nad zabitym klęczał człowiek, którego wraz z nim ujęto; że następnie ten człowiek powstał, trzymając w ręku nóż, którym prawdopodobnie popełnił zabójstwo; że na uczynione mu zapytanie kto jest zabójcą, odpowiedział wyraźnie „ja", a na propozycją pójścia wspólnego do cyrkułu, zaczął się najprzód niezgrabnie wykręcać, a następnie nawet wmawiać zabójstwo w niego i w jego towarzysza; że gdy go chcieli siłą prowadzić do cyrkułu groził im śmiercią, i że gdy go aresztowano, wyraźnie ich obu o popełnienie zbrodni oskarżał.

Następnie przywołano pana Antoniego, który co do słowa potwierdził zeznanie przyjaciela.

Urzędnik policyjny już miał uwolnić ich obu, przyszło mu jednak na myśl, że w sprawie takiej wagi pośpiech mógł być nieroztropnością i że koniecznie wstrzymać się należało aż do przesłuchania trzeciego; kazał się więc oddalić panu Antoniemu i powtórnie zalecił, żeby aresztowanym komunikować się z sobą nie dozwolono i wezwał do siebie nieznajomego.

Dopiero teraz przyjrzeć mu się możemy. Był to człowiek młody, porządnie ubrany, przystojny, brunet, pociągłej i bardzo przyjemnej twarzy, z czołem wysokiem i intelligentnem. Oko jego błękitne patrzyło dosyć śmiało i pewnie, lubo w ruchach i bladości twarzy, znać było pewne wzruszenie

— Jak się pan nazywa?—zapytał go urzędnik.

— Józef Opędzki.

— Wiek?

— Dwadzieścia pięć lat.

— Zkąd rodem?

— Z Warszawy.

— Stan? zatrudnienie? mieszkanie?

— Jestem szlachcic, zatrudnienia stałego dotychczas nie obrałem, żyję z majątku jaki mi został po nieżyjących już rodzicach, mieszkam przy ulicy Bednarskiej pod numerem...

— Gdzieś pan przepędził wieczór wczorajszy?...

— To jest obojętnem dla sprawy.

— Nie do pana należy sądzić co jest obojętnem

a co potrzebnem —poważnie i stanowczo odrzekł urzędnik,—gdzieś pan przepędził wieczór wczorajszy?...

— Szedłem z Solca przez Topiel... —zaczął aresztowany.

— Od kogo? zkąd?...

Młody człowiek, jakby nie słyszał uczynionego zapytania, powtórzył:

— Szedłem z Solca przez Topiel i potknąłem się w ciemności...

— Dlaczego pan nie odpowiadasz na pytania — przerwał mu komissarz,—wykrętnemi odpowiedziami pomnażasz tylko poszlaki. (*d. c. n.*)

W O D A.

Po powietrzu (patrz Opiekun Domowy Nr. 30 z r. 1867), woda jest ciałem najpotrzebniejszem do utrzymania życia naszego. Jest ona bardzo obfitą, nie tylko bowiem okrywa ziemię, zajmując blisko $^3/_4$ jej powierzchni i miejscami zajmuje niezmierzone głębie, ale jeszcze znajduje się w kształcie pary w powietrzu, tudzież wchodzi w skład roślin i zwierząt.

Czysta woda zawiera tylko *tlen* (patrz art. o powietrzu) i *wodor*.

Wodor jest gazem bez smaku, zapachu ani koloru, najlżejszym ze wszystkich ciał znanych i dla tego używa się do napełniania balonów, tudzież ma tę własność, że za dotknięciem ciała palącego się zapala się w powietrzu i wtedy łączy się on z tlenem powietrza i tworzy wodę, której jednakże wtedy wprost nie widzimy dla tego, że z powodu gorąca rozprasza się w kształcie pary w powietrzu.

Przymioty wodne godne zastanowienia się, są:

1. Nie ma ona smaku ani zapachu, nie drażni więc nerwów naszych. Ciała pachnące miłe uczucie w nas wzbudzają, lecz ciągłe ich draźnienie szkodliwie by oddziaływało na zdrowie — ani powietrze ani woda nie mają zapachu, w ciągłem więc zetknięciu z ciałem zwierzęcem, ślizgają się niejako po najczulszych nerwach nie draźniąc ich, a nawet orzeźwiają i uspakajają ból w częściach ciała ze skóry obnażonych.

2. Woda ochładza; przechodząc w stan pary, pochłania wiele ciepła, a nawet dla rozgrzania potrzebuje więcej ciepła niż inne ciała. Para wody wychodząc z płuc naszych w czasie oddychania tudzież z porów naszego ciała, unosi z sobą obce części, które mogłyby być przyczyną chorób, gdyby w ciele zostały.

3. Skład wody tłómaczy nam jej wpływ na życie roślin i zwierząt. Tlen i wodor wchodzą w skład części stałych wszystkich istot organicznych i bez wody nie tylko nie mogłyby zaspokoić pragnienia, ale nie mogłyby się nakarmić, nie mogłyby rosnąć, a zatem i żyć.

4. Woda łączy się z wielu cieczami i łagodzi ich działanie, np. spiritusu, kwasów, rozpuszcza także wiele ciał stałych, wprowadza je do naszego organizmu i pomaga do utworzenia kości i innych części ciała. Woda rzeczna i źródlana choćby najczystsza i zupełnie przezroczysta, zawiera czasem tych obcych części tak wiele, że od nich nabywa smaku i tworzy wodę mineralną. W stu częściach wody morskiej, znaleziono przeszło trzy części soli, szczególniej soli kuchennej i soli gorzkiej, od których i smak jej jest gorzko-słony. Woda studzienna zwykle zawiera wapno i magnezję i wodę taką nazywamy twardą, bo mydło tworzy w niej osad kłaczkowaty, a groch nie może się rozgotować. Woda wapienna od gotowania cokolwiek się mąci i na ścianach garnków, kotłów, samowarów, tworzy skorupowaty osad;—pochodzi to ztąd, że kwas węglany znajdujący się w takiej wodzie rozpuszcza kamień wapienny, a wydalony przez gotowanie, jest przyczyną osadu z tego kamienia. Dla tego więc woda twarda po wygotowaniu, jest czystszą i bardziej miękką.

Woda przepływająca przez grunta bagniste i torfowate, unosi z sobą wiele cząstek organicznych i dla tego niezdatną jest do picia, ale można ją różnemi sposobami oczyszczać, jako to: za pomocą wiórów dębowych, rozmaitych nasion zawierających garbnik, za pomocą gotowania, ałunu i t. d. ciała te ścinają białko i galaretę znajdujące się w istotach organicznych; — dla tego więc po przecedzeniu lub ustaniu, woda już jest zdatną do picia.

5. Woda rozpuszcza w sobie różne gazy, szczególniej przy większem ciśnieniu w znacznej ilości; takim roztworem kwasu węglanego w wodzie jest niewłaściwie nazywana woda sodowa bo w niej nie ma sody, tylko kwas węglany i to tym obficiej, im większe ciśnienie było przy fabrykacji tej wody sprawione. Woda ta pieni się przy odkorkowaniu butelki, bo wszystek gaz przy zwyczajnem ciśnieniu powietrza zostać się w niej nie może.

Woda zwyczajna rozpuszcza w sobie więcej tlenu niż azotu. Ważna ta okoliczność odpowiada potrzebom ryb i innych zwierząt w wodzie żyjących, bo one biorąc z wody powietrze potrzebne im do życia, prędzej nim zaspakajają warunki do przerobienia pokarmów na ich krew potrzebne.

Widzimy więc, że woda bardzo jest potrzebną do utrzymania zdrowia i życia naszego, że Wszechmocny udzielił jej takie własności, które najlepiej odpowiadają przeznaczeniu, jakie ma wypełniać w życiu roślin, zwierząt, i w ogóle w zaspokojeniu potrzeb i czynności na całej kuli ziemskiej.

A. Tołwiński.

ROZMAITOŚCI.

— **Szczególny przemysł.** W Londynie, tem kilkomiljonowem mieście, stolicy handlu i przemysłu, trafiają się także najszczególniejsze przypadki oszustw wszelkiego rodzaju. Do najoryginalniejszych należy pomysł pewnego spekulanta na cudze kieszenie, który sobie obrał wcale osobliwe zatrudnienie: trudnił się fałszowaniem aktów zejścia osób zaginionych bez wieści. Jak tylko wyczytał w jakim dzienniku ogłoszenie jakiej rodziny poszukującej członka straconego bez śladu, udawał się natychmiast do interessowanych, a wywiedziawszy się poprzednio cokolwiek o ich stosunkach, zmyślał historją dosyć prawdopodobną na dowód, że ma pewne ślady zaginionego i że po bliższych poszukiwaniach, może jego samego lub też pewną wiadomość o jego śmierci dostarczyć. W tym celu wyłudzał pieniądze nieraz bardzo grube zwłaszcza tam, gdzie chodziło o rozporządzenie pozostałym majątkiem, o wejście w nowe związki małżeńskie lub t. p., a po niejakim czasie dostarczał akt zejścia fałszywy. Z tego prowadził życie wystawne i mógłby był ciągnąć swoje rzemiosło dosyć długo gdyby nie to, że policja angielska zaczęła się czegoś domyślać. Złapano go w dowcipny sposób. Umieszczono w gazetach ogłoszenie, że pewna dama poszukuje zaginionego syna. Przemysłowiec zgłosił się natychmiast z propozycją wynalezienia człowieka, który nigdy nie istniał, dobił ugody ze stroskaną niby matką i wkrótce dostarczył jej akt zejścia nie byłego jedynaka, na mocy czego został aresztowany i oskarżony o wiele poprzednich oszustw tego rodzaju.

— **Przykład naiwności**. Zdawałoby się, że w naszym wieku zwłaszcza też w kraju tak oświeconym jak Belgja, nie powinnyby się już trafiać przykłady ciemnoty do komicznej naiwności posuniętej, o jakiej u nas czasem słyszeć się dają anegdotki. Tymczasem rzecz się ma przeciwnie. Niedawno do dwojga wieśniaków w okolicy miasta Charleroi przyszedł doktór w celu zapisania lekarstwa ich choremu dziecku. Opatrzywszy stan dziecka, lekarz napisał receptę, zasypał ją piaskiem i rzekł:

— Oto jest przepis plastru. Przyłożycie to w miejscu chorem, a nazajutrz utworzy się rana, trzeba zatem będzie odjąć plaster i robić obkładania.

Później odszedł, objaśniwszy jeszcze w kilku słowach, jaką chore dziecko ma zachowywać djetę.

Po odejściu lekarza, rodzice wzięli receptę i pilnie przypatrywać jej się zaczęli:

— Ja nie wiem — rzekła żona, — czy to się ciała chwyci.

— A to dla czego? — odpowiedział mąż, — kiedy doktór powiedział że się chwyci i zrobi ranę, to się chwyci niezawodnie.

— I jak ma zrobić ranę — odparła małżonka, — niby to ja się nie znam.... w tem przecież nic gryzącego nie ma.

— Ale!... nie ma.... a to?. .

Tu tryumfujący małżonek, pokazał żonie ziarnka grubego piasku, którem posypane było pismo.

— Cóż to, myślisz — dodał, — że doktór tylko dla upiększenia piasku dodał?.... i czy to nie gryzące może?

Ta rozsądna uwaga pokonała wszystkie obawy i wątpliwości matki. Przyłożono plaster i obandażowano stosownie do zalecenia doktora.

Nazajutrz rano nastąpiło odbandażowanie. Plaster znajdował się na miejscu, ale zapowiedzianej rany nie było.

— A co?.... nie powiedziałam ci, że tego gryzącego za mało — rzekła z pewnym wyrzutem matka.

— No kiedy za mało można dodać, odpowiedział ojciec.

Dorzucono całą garść piasku pod plaster i obandażowano na nowo.

Tegoż dnia po południu przyszedł lekarz i z niemałem zadziwieniem dowiedział się, że plaster się nie czepił i że trzeba było dodać gryzącego.

Nie mogąc pojąć co to znaczy i czego do lekarstwa dodano, kazał natychmiast odbandażować dziecko i wtedy dopiero dowiedział się, że to jego recepta z przymieszką większej ilości piasku zastąpić miała wezykatorją.



Beczuanowie — mieszkańcy południowej Afryki — (stron. 99 szpalta 2-a).

Koniec Kwartału I-go 1868 r.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.—Redaktor, Adam Mieczyński.